

Wspomnienia Janiny Klimczak z domu Grądkowskiej

Ruda 2015

*"Bez przodków jesteś jak wyrwana roślina, rzucona na
uschnięcie.*

*Gdy czujesz za sobą ich siłę, to tak, jakbyś rósł w lesie z innymi
drzewami.*

*Jedne są stare i już się przewracają, inne młode, dopiero rosną,
ale to jest TWÓJ las..."*

*Czas płynie, ludzie umierają,
następni będą o nas pytać,
kto im odpowie?*

Rodzina Janiny – córki Heleny z domu Subczyńskiej i Franciszka Grądkowskich.



Ja, Janina, urodziłam się 22 lutego 1934 r. w Czartkach. Okupacja niemiecka zabrała mi dzieciństwo. W 1945 r. po wyzwoleniu poszłam do szkoły w Zborowskim. Tam w ciągu 2 lat skończyłam 4 klasy szkoły podstawowej. Następne klasy łącznie z siódmą (w roku 1949/1950) ukończyłam w Męce. Miałam ukończone 16 lat. Zdałam egzamin i zostałam przyjęta do Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi przy ulicy Narutowicza. Szkoła ta bardzo mi odpowiadała, ale z powodu braku funduszy rodziców, jak też tego, że byłam córką kułaka (tak w komunizmie nazywano obszarników >14 ha), nie przysługiwało mi korzystanie z bursy ani stypendium. Na kształcenie prywatne rodziców nie było stać. Szkołę musiałam przerwać i wrócić do domu. W domu była bieda. Zimą chodziłam w gumowych butach, a latem w płótniakach (pepegach). Prałam, cerowałam, aby w niedziele można było iść do kościoła. W tym też czasie chodziłam do krawcowej, aby nauczyć się szycia. Początków tego zawodu nauczyłam się u swojej cici Todzi, siostry mojego taty. Po roku nauki krawiectwo miałam opanowane i do dziś je wykonuję.



Jasia z siostrą Wandzią. Obok jej kuzynka Tereska Grzelak i ciocia Weronika Staniucha z d. Grądkowska. W środku poniżej ciocie Pola i Todzia Grądkowskie, kuzynka Basia – córka Antoniego Grądkowskiego i na pierwszym planie kuzyn Wiesiek, syn Weroniki. Lata 40-te przed wojną.

W dzieciństwie, tak jak mama, pasłam w domu krowy, nawet i 8 sztuk. Nie mogłam sobie poradzić. Nie raz płakałam. Kładłam się na zimnej ziemi, aby się przeziębicić i umrzeć. To się pomściło, bo wiosną 1945 roku zachorowałam na zapalenie stawów. Kiedy zawieźli mnie do lekarza, powiedział, że ja już na nogi chodzić nie będę. Chorowałam kilka miesięcy. Leżałam powykręcana, spuchnięta. Nawet do rąk nic nie mogłam wziąć. Więcej u lekarza na to się nie leczyłam. W bólach stanęłam na nogi. Musiałam usunąć wszystkie ropne zęby. Od tej pory moje życie związane jest z bólem stawów, kolan, łądźwi, a teraz już wszędzie. Doszły do tego żylaki nóg. Dwukrotnie byłam już bliska śmierci, jednak Bóg w swej dobroci zostawił mnie, abym jeszcze pocierpiała. Prognoza lekarza sprzed lat nie spełniła się, bo ja do dziś (a mam 80 lat) chodzę bez laski. Ja tylko wiem, ile sprawia mi to nieraz bólu.

Po mamie odziedziczyłam żylaki, po tacie smykałkę do wszystkiego, co tylko można zrobić, nie tylko kobiecych robót, ale i męskich w gospodarstwie.

W 1953 r. wyszłam za mąż za Stanisława Klimczaka ur. w styczniu 1927 r. (zam. Męcka – Wola – Herby, gm. Sieradz), z zawodu szewca. Wykształcenie dwie klasy szkoły podstawowej uzupełnił w czasie powojennym w szkole podstawowej wieczorowej dla dorosłych w Suchej. Stanisław był bardzo pracowity, umiał wszystko zrobić, pobudował dom, w którym teraz mieszka nasze pokolenie. Po kilkunastu latach rozbudował nasz dom. Mało brał fachowców, tylko na to, co musiał. Elektrykę robił sam. Kiedy nikt we wsi nie miał podłączenia do wody, my mieliśmy pompę w studni, wodę doprowadzoną do piwnicy, a potem i w całym domu. Mieliśmy ogrzewanie – w piecach były spirale wodne, które ciepłą wodę rozprowadzały po grzejnikach zawieszonych na ścianach.

Stanisław nie miał nigdy czasu na odpoczynek. Zawsze ktoś coś od niego potrzebował – jak nie buty zreperować, to pomocy na budowie. Mąż umiał zrobić szalunki i strop zalać, motor naprawić. Sam także jeździł na motorze. Miał nawet ciężki wypadek. Tylko on umiał starą motopompę dla straży uruchomić. Jak nie było telefonu we wsi, ludzie przychodzili w nocy, budzili go, aby jechał dzwonić na pogotowie, najbliżej do Męki. I innych musiał budzić, aby móc dać ratunek innym potrzebującym. Był obdarzony dobrym zdrowiem, nigdy nie chorował i nie narzekał. Mając lat dwadzieścia pięć, jeszcze jako kawaler, gdy wracał z pracy na rowerze, został porażony przez piorun. Karetka zabrała go do szpitala. Kiedy oprzytomniał, na własne żądanie wypisał się do domu. Zemściło się to na nim w jego końcowym okresie życia. Zmarł w 2000 r.

W 1954 r. razem ze Stanisławem zamieszkaliśmy we wsi Ruda.

W 1955 r. urodził się nam syn Wiesław, a 2 lata później córka Grażyna. Wiesiu od urodzenia miał rozszczep podniebienia miękkiego. W szóstym roku życia miał zabieg operacyjny. Po zabiegach i nauce mowy poszedł do normalnej szkoły. Ukończył Wyższą Oficerską Szkołę Pożarniczą w Warszawie. W 1977 r. ożenił się z Barbarą Morawiak z Lubanowa (poczta Gryfino, woj. Szczecin) i tam zamieszkał. Wychowali 4 dzieci: Sylwię, Przemka, Leszka i najmłodszą Anię.

Sylwia, Przemek i Leszek założyli już własne rodziny.

Córka nasza, Grażyna Agnieszka, ur. w 1957 r. w Rudzie, pow. Sieradz, ukończyła szkołę średnią. Wyszła za mąż za Józefa Gugulskiego, ur. w 1956 r., zam. w Kamionczyku. Po ślubie zamieszkali w Rudzie. Grażyna pracowała w służbie zdrowia, następnie w energetyce na licznikowi, Józef jako kierowca. Obecnie świadczy prywatne usługi. Mają dwóch synów – Jana (ur. maj 1980 r.) i Andrzeja (ur. sierpień 1982 r.).

Wspomnienie Jasi o dziadkach Agnieszce i Andrzeju Grądkowskich zamieszkałych w Czartkach



Na tle domu dziadków mała Jasia i jej siostra Wandzia z ciotką Todzią, a przy wejściu do domu ojciec Franciszek Grądkowski – lata 40-te po wojnie

Domostwo dziadków Agnieszki i Andrzeja Grądkowskich położone było w środku wsi Czartki. Przy samej drodze stała drewniana stodoła kryta słomą. Posiadała dwa duże sąsieki, w środku klepisko. Kilkanaście metrów w głąb podwórza stał obszerny drewniany, wapnem bielony dom, również kryty słomą. Równoległe do drogi. Dwa duże pokoje, w środku sień i kuchnia. Okna i drzwi malowane na zielono, ramki w drzwiach na biało. Za domem od tyłu był duży ogród pełen krzewów czerwonej porzeczki. Przed domem w stronę drogi po lewej stronie domu był ogródek kwiatowy. Kilka metrów w stronę drogi, po tej samej stronie była bardzo głęboka studnia z wysokim żurawiem, tu w ogródku warzywa.



Franciszek Grądkowski z córką Wandzią na podwórzu domu dziadków na Czartkach /w pobliżu studni z żurawiem/

Dalej w stronę drogi, kilka metrów za studnią rósł bardzo wysoki dąb. Musiał być od początku wzrastania szczególnie pielęgnowany, obcinany, że wzrastał wżwyż i w grubość. Miał jakby czapę gałęzi na czubku, a do ziemi był bardzo prosty i gruby. On królował nad całą okolicą. Był to olbrzym niespotykany. Całe podwórze, jak i ta część była ogrodzona płotem z drewnianych sztachet. Przy tym płocie, tej połowy, którą opisałam, rosły drzewa wiśni. Również i od strony sąsiada. Były to już duże drzewa i rodziły słodkie owoce, Między tą częścią a stodołą był wjazd z drogi na podwórze zamykany drewnianą bramą i furtką.



Teodora Stachurska z synem Piotrem i Zosią, córką brata Antoniego ok.1952 r. Na zdjęciu widoczna studnia z żurawiem i potężny dąb przy bramie wjazdowej na podwórze babci Agnieszki.



Teresa Grzelak, córka Apoloni z d. Grądkowskiej z chrześniakiem Piotrem Stachurskim i Zosią, córką Antoniego Grądkowskiego, przy domu babci na Czartkach – ok.1952 roku



Mali kuzyni: Piotr Stachurski – syn Teodory, Jasia Grądkowska – córka Andrzeja, Roman Grądkowski – syn Antoniego i Marek Grądkowski –syn Franciszka w obejściu u babci Agnieszki na Czartkach – ok.1956 roku

Od drugiej strony sąsiada Rosiaka wzdłuż granicy stał budynek gospodarczy postawiony z czerwonej cegły. Kilkanaście metrów od stodoły czyli od drogi, był ogród, w którym posadzone były pomidory, ogórki, częściowo kartofle. Po tym wszystkim poprzęsadzany kępkami był słonecznik. I dopiero stał budynek gospodarczy. Składał się z zaplecza na karmę dla trzody i drobiu, stajni, obory i chlewni. Całe zabudowanie stało jakby na górze, wzniesieniu. Za budynkami był spadek terenu (z górki w dół). Tu w poprzek całej działki płynęła struga. Na strudze, gdy zamarzała woda, ślizgałam się w trepkach po lodzie. Przy strudze rosły duże olszyny.



Teodora Stachurska z d. Grądkowska z Jasią Grądkowską - córką brata Andrzeja i synem Piotrem na tle domu rodzinnego na Czartkach – lata 50-te

Na strudze był mostek do przejścia i następne wzniesienie, czyli górka. Tam stała druga stodoła, taka jak od drogi. Przy mostku na prawo rósł piękny wysoki świerk. Tu biegła ścieżka do mojego rodzinnego domu. Wokół stodoły, szczególnie za nią, rosły duże brzozy. Tam często chodziłam na czerwone kozłary.



Zdjęcie na podwórzu obok szczytu domu babci. W głębi widać strugę, a za strugą stodołę. Na zdjęciu Weronika Staniucha z d. Dłubała (córka Józefy, siostry babci Agnieszki)), następnie Anna Grądkowska z d. Perdek., siostra babci Agnieszki między synową Stanisławą i synem Andrzejem Grądkowskim oraz Marianna Tęsiorowska, córka Anny.

Stodoła po żniwach pełna była zboża. Zimą po dwóch lub trzech mężczyzn młóciło to zboże cepami, Szczególnie na mrozie dobrze ziarno wysypywało się z kłosów. Często słyhać było bicie cepów po słomie na klepiskach. Latem słyhać było klepanie kosi na babce przed pójściem na pole lub przed wieczorem, aby na rano kosa była gotowa do koszenia. Wieczorem

rechotały żaby w strudze. Słysząc było cykanie świerszczy w trawie, słowika trele w gąszczu. To był urok tamtych lat. To był wypoczynek po ciężkiej pracy.

Sąsiedzi się schodzili, rozmawiali, śmiali się, żartowali do późna w noc. Latem siedzieli na trawie, zimą schodzili się do domów. Mężczyźni wspólnie i kobiety wspólnie. Każda miała jakąś robótkę ze sobą, nawet kołowrotek z przędzą. Mężczyźni nie pili wódki przy takich spotkaniach. Opowiadali różne legendy, nawet o strachach, duszach. Kobiety, gospodynie urządzały pierzaki - darcie pierza albo kędziółki – przędzenie lnu albo wełny.

Młodzież zbierała się w gromadki. Przechadzali się drogą albo przysiadali blisko drogi. Śpiewali, śmiali się, żartowali. Różne niespodzianki gospodarzom robili. Byli i tacy, że cały wóz gospodarzowi rozebrali, wnieśli na dach i na kalonce go ustawili. A to komin zatkali po pierzawce, furtkę z haków wystawili i gdzie indziej zawiesili, zamienili. Zimą w karnawale kuligi urządzały. Przed Bożym Narodzeniem i przed Wielkim Postem poprzebierani za winiarzy chodzili. Sprawiali sobie i innym dużo radości. A w każdej wsi jakiegoś grajka mieli, co im na harmoszce grał. Takie też zabawy urządzały. Dziś się tego nie słyszy, a jeśli już to pijackie przekleństwa i bluźnierstwa.

Wracam, aby opisać wspomnienia o babci Agnieszce i o dziadku Andrzeju, którego nie znałam, bo w tym roku, kiedy się urodziłam (luty 1934 rok), dziadek zmarł w czerwcu.



Babcia Agnieszka i dziadek Andrzej – jedyne istniejące jego zdjęcie

Z opowiadań tatusia tylko tyle wiem, że dziadek był bardzo nerwowy. Dzieci chodziły przy nim jak w zegarku. O swojej rodzinie, rodzicach nic nie przekazał swoim dzieciom.

Od tatusia też wiem, że dziadek miał raka w palcu u nogi. Prawdopodobnie przyczyną było skaleczenie nogi bronią przy pracy w polu. Rana zabrudziła się ziemią. Niby się zagoiło. Potem rana się otworzyła, nie goiła i zakażenie poszło w górę.

Dziadek przychodził do nas z chora nogą. Chciał się nacieszyć pierwszą wnuczką. Tak opowiadała mi moja mama Helena. Byłam bardzo płacząca. Dziadek mnie kołysał, a ja nie ustawałam płakać. To się denerwował, bo na pewno bolała go noga. Ustawał kołysać i mówił: „jakie to rozdarte”. Bardzo bolała go wtedy noga...



Babcia Agnieszka z wnukiem Piotrusiem, synem córki Todzi, w ogrodzie na posiadłości babci, 1952 rok

Babcia była niskiego wzrostu, drobna, okrągła. Ubierała się bardzo skromnie. Jak pamiętam, sukienki, spódniczki nosiła do kostek. Inaczej nie pamiętam babci. Tak się ubierała. Bluzki pod szyję i najczęściej z długim rękawem. Na głowie nosiła chusteczki wywiązane do tyłu, ale nie marynuszki. Była dobra, bardzo gościnna. Umiała z każdym serdecznie porozmawiać. Nie chodziła po sąsiadkach, nikogo nie obmawiała. Nie była bardzo rozmowna, ale wiedziała co kiedy powiedzieć. Umiała czytać, czy pisać też - tego nie wiem.

Pamiętam, że jako panienska, jak poszłam do babci, zawsze mnie częstowała. Bardzo ładnie umiała podać na stół jedzenie. Herbata w szklance na spodeczku, kanapka na talerzyku lub kawałek drożdżowca z kruszonką. A umiała upiec także i inne ciasta. Cukier w pięknej cukierniczce, masło i ser. To było tak smakowite, że chciało się usiąść i jeść.

Stół był bardzo długi, na całą szerokość kuchni. W kątku stało krzesło pod oknem, skąd był widok na ogród z krzakami czerwonych porzeczek. Ława też była długa, wsuwana pod stół.

Stół i ława były tak pięknie wyszorowane. Miały kolor pszczelego wosku. Tak było zawsze, kiedy poszłam odwiedzić babcię.

W rogu kuchni stał duży murowany piec chlebowy. Na dole piekło się chleb, na wierzchu gotowało, a od sufitu opadała duża baba. Tam uchodziła para, jak również można było obsuszać kiełbasę lub szynkę wędzoną. Tam też była murowana półka, na której stał moździerz z tłuczkiem, w którym tłukło się pieprz i kawę w ziarnkach, oraz gliniana solniczka. Zwisiała też płótniana torba z suszonymi grzybami. To były najważniejsze przyprawy gospodyni, naszej babci Agnieszki.

Po drugiej stronie kuchni, po prawej stronie od wejścia, stała ławeczka z dwoma wiadrami i miską, emaliowane, białe. Miska do zmywania naczyń, jedno wiadro na czystą wodę ze studni, drugie na spłuczki. Nad wiadrami na ścianie zawieszony był taki półtalerzyk blaszany biały, na którym stał biały blaszany garnuszek na wodę. Tym nabierało się wodę z wiadra.

Mieszkania i kuchnia były wybielone wapnem. Podłoga w kuchni z gliny. Jak się zamiotło, to posypywało się białym piaskiem.



Babcia Agnieszka w ostatnich latach życia



Zdjęcie babci z dowodu osobistego

Babcia jak na te czasy gotowała wspaniałe posiłki. Rano śniadanie było zawsze gotowane. Polewka na kwaśnym mleku lub maślana zaprawiana słodkim mlekiem i mąką pszenną z dodatkiem masła. Druga polewka zasypywana mąką żytnią, taka prućką, dobierana też kwaśnym mlekiem lub maślanką i słodkim mlekiem do smaku. To jadło się z ziemniakami w mundurkach lub z chlebem.

Barszcz był rzadko gotowany, raczej na obiad w postaci zalewajki. Ale trzeba było umieć dobrać te smaki. Na obiady mało było mięs smażonych, raczej gotowane, a na wywarze zupa. Jakikolwiek kluski czy makarony babcia robiła sama. Na kolacje była czarna kawa zbożowa lub z mlekiem, czasem herbata, w czasie okupacji słodzone sacharyną. Oświetlenie stanowiła lampa naftowa lub karbidówka.

Przed wojną i w czasie okupacji gospodarze siali len, a gospodynie wyrabiały go na płótno. U babci Agnieszki również był siany. Pamiętam cały korowód prac.

Po wyrwaniu len był wymłócony, następnie w snopkach moczony w strudze. Po wymoczeniu babcia suszyła go, potem łamała na pierwszym łomku. Garście suszyła w piecu chlebowym i łamała na drugim łomku – cierlicy. Potem było dwukrotne suszenie w piecu po chlebie i dwukrotne czesanie na innych szczotkach. Potem wstawione były do przędzenia na kołowrotku (kółku).

Po pierwszym i po drugim czesaniu zostawały pakuły. One też były przędzone. Zimą jak babcia oprzędła, to nie pamiętam, czy były te przędziona prane. Ale pamiętam, że nosiła je do takiego człowieka, co na krosnach robił płótno. Z lnu było piękne, cienkie, a z tych pakuł przędza była przeznaczona na powrozy, worki i płachty w łóżka lub płachty do siewu zboża.

Tak pracowała nasza babcia. A przędła też wełnę, z czego ciocia robiła swetry. To jeszcze nie koniec. To dopiero było płótno brudne. A trzeba było użyć sposobów, aby je wyprać i wybielić. Nie było takich środków piorących jak są dzisiaj. To był czas okupacji, kiedy mydło było robione z ludzi, które nic się nie pieniło, jak kostki gliny.

Brakowało chleba, mleka. Wszystko było na kartki. Aby mieć więcej chleba, suszyło się żyto lub pszenicę na brytfannach w piecu chlebowym i mielilo się w młynkach ręcznych (takich chrobotkach). Przesiewało się przez co najmniej 2 lub 3 sita i coś tam zostawało niby mąka, ale to była żytnia albo pszenna razówka. Taki był chleb. Może zdrowy, ale czarny jak ziemia. A z pszennej razówki po kilku przesiewach zostawała niby manna. Na takiej mannie wychowała się moja siostra Wanda. Tego nie wolno było robić. Gdyby ktoś doniósł do władz gminy, to skończyłoby się więzieniem. Takie rzeczy i inne jak zabicie świni lub innego zwierzaka, zrobienie z mleka masła czy sera było zabronione. Nawet jajka, wszystko trzeba było odstawiać. Naznaczone było z góry, ile dane gospodarstwo ma odstawiać. To był taki

kontyngent. Gdy ktoś się z tego nie wywiązał, były też kary. Jakąś tam małą sumę płacili za te odstawione produkty, ale to były fenygi. Nawet buty, odzież, bielizna na pościel – wszystko było na przydział, czyli na kartki.

Podczas okupacji babcia była załamana, kiedy jej czworo dorosłych dzieci (Polę, Helę, Todzie i Janka) zabrali Niemcy i wywieźli na przymusowe roboty.

Wiedziała, że tam w każdej chwili grozi im śmierć. Bo tam w centrum Niemiec – Berlinie – były kilka razy na dobę straszne naloty. O wszystko miała pretensje do tatusia i do nas, że my wszystko mamy, że my jemy, jesteśmy w ich gospodarstwie, wszystkim się rządzą, jakby to było nasze. A oni tam z głodu pomrą.



Rodzeństwo Hela, Janek i Todzia Grądkowscy na robotach przymusowych w Niemczech

Babcia nie mogła tego pojąć. Bardzo się modliła. Dużo modlitw od niej się nauczyłam. Szczególnie melodii pieśni, jakie śpiewała o mężu Pana Jezusa w czasie postu. Śpiewałam razem z babcią.



Zdjęcie z Niemiec. W środku Apolonia (Pola) z siostrą Helą i wspartym o drzewo mężem Janem Grzelakiem. Z lewej strony Poli jej syn Janek, a poniżej córka Tereska. Powyżej Poli brat Janek Grądkowski.

Dokąd Niemcy nie pozamykali kościołów, jeździliśmy wozem konnym do kościoła. Wóz ubrany był w pukoszki. To taki wypleciony z wikliny kosz wkładany na wóz. W nim były trzy siedzenia, abyśmy się mogli pomieścić. Tak jeździła cała rodzina do kościoła w Męce. Pamiętam, jak przyjechało gestapo do kościoła w Męce podczas nabożeństwa, rozgoniło wszystkich ludzi i kościół zamknęli.

Powrócili wszyscy wujkowie i ciocie z Niemiec z Berlina. Jak opowiadali, pracowali tam w wytwórni bomb i amunicji,. To była okropność. Po kilka nalotów było w ciągu nocy.

Moja rodzina wróciła na swoje śmieci, bo tak było zapuszczone nasze obejście i dom. We wszystkim były braki. Tak dosłownie, bo wszystko było spustoszone. Wtedy ja się rozchorowałam na zapalenie stawów. Jak wspomniałam już wcześniej, była bieda. Przed wojną tatuś przeniósł niektóre zabudowania od drogi za strugę. Pobudował stodołę i duży dom gospodarczy. Przygotował bale i inne drzewo na budowę domu mieszkalnego. Wybuch wojny wszystko pokrzyżował. My zamieszkaliśmy u babci, a nam wszystkie drzewo przeznaczone na budowę domu zabrali Niemcy. Gdy wróciliśmy, tatuś odgrodził ze stajni z gospodarczego dom mieszkalny i tak się męczyliśmy. Dopiero jak mój brat Tadek został na ojcowiznie, pobudował dom mieszkalny.



Rodzeństwo Helena, Andrzej i Teodora Grądkowscy.

Jedna z sióstr tatusia, ciocia Todzia, była krawcową. Lubiłam patrzeć, jak ona kroili materiał, brała przymiarki i szyła. Umiała opowiadać różne ciekawe historie. Śpiewała śmieszne piosenki, może i to też mi się podobało. Jak tylko przyszłam ze szkoły, to wolny czas spędzałam u cioci Todzi. Z czasem dawała mi coś do podszycia ręcznego, potem dopuszczała mnie do maszyny. Z czasem wiedziałam o krawiectwie prawie wszystko. Ciocia umiała haftować, szydełkiem dziergała, a nawet robiła na drutach. To mnie trzymało blisko cioci aż do czasu, gdy ciocia wyszła za męża i wyprowadziła się do Modlina do męża.

Nie powiodło mi się ze szkołą i to było niespełnienie w całym moim życiu. Ciocia była prawdziwą nauczycielką.

Tu przyznać muszę, że ciocia Todzia wynagradzała mojej mamusi za te paczki, które mama wysyłała do Berlina. Jak było nam tak ciężko i brakowało wszystkiego, to ciocia co mogła, to nam szyła, nawet bieliznę. Przerabiała nieraz nawet ze swojego. Po prostu nas ubierała. Chodziłam już do Męki do szkoły. Uszyła mi komplet: spodnie i kurteczkę. Pamiętam, jak się bardzo cieszyłam. Inne dziewczyny mi zazdrościły. Tym wszystkim wyraziła swoją wdzięczność. Ja tego jej nie zapomniałam.



Na lewym zdjęciu w górnym rzędzie rodzeństwo Janek, Todzia, Hela i Franek Grądkowscy. W środku ich mama Agnieszka. Dzieci to Jasia i Wandzia – córki Franciszka.

Na zdjęciu prawym Jasia, jej ciocia Hela, wujek Janek, jedna z córek z rodziny Kubiaków z Łodzi i na rowerze mała Wandzia. Koniec lat 40-tych.



Babcia Agnieszka Grądkowska z synami Andrzejem i Frankiem i wnuczką Wandzią przed domem na Czartkach – koniec lat czterdziestych

Po wojnie często przyjeżdżała na Czartki jako letnicy rodzina Kubiaków z miasta Łodzi i Zalewskich ze Zduńskiej Woli z dziećmi oraz ich znajomi.



Powojenne rodzinne zdjęcia z letnikami - rodziną Kubiaków i Zalewskich z Łodzi.

Na pierwszym zdjęciu pierwsza z lewej stojąca Helena Grądkowska, żona Franciszka, z córką Wandzią. Obok siostra Franciszka – Helena z Wiktorią Kubiak, siedzące kolejno: Jasia, autorka wspomnień, Irena Zalewska, Basia i Ola Kubiakówny, a między nimi siostra Heli - Teodora. Poniżej nich Władysława Kubiak z d. Grądkowska. Pierwszy z lewej Jan Kubiak.

Na drugim zdjęciu kolejno Irena Zalewska z ojcem Janem Zalewskim i mamą Władysławą z d. Grądkowską, Franciszek Grądkowski z córką Wandzią, Andrzej Grądkowski, Wiktoria Kubiak, Helena Grądkowska, Jan Kubiak, Teodora Grądkowska, Helena- żona Franciszka, Jan Grądkowski i siostry Ola i Basia Kubiakówny. W środku Jasia – autorka wspomnień.



Franciszek Grądkowski z córką Wandzią, jego brat Janek i



Babcia Agnieszka Grądkowska z synem Jankiem i wnuczką Janką, córką Andrzeja Grądkowskiego. Początek lat 60-tych.



Dom dziadków na Czartkach w latach 90-tych zamieszkały przez rodzinę Jasi Wrąbel, córki najstarszego syna babci Agnieszki - Andrzeja Grądkowskiego



...i w 2000 roku. Teodora Stachurska z bratową Barbarą Grądkowską, żoną brata Janka, przed domem rodzinnym na Czartkach w lipcu 2000 roku przy okazji rodzinnego zjazdu potomków Agnieszki i Andrzeja Grądkowskich.. Jedyna żyjąca w tym czasie z dziesięciorga dzieci dziadków Agnieszki i Andrzeja Grądkowskich.

Historia rodziny Heleny i Franciszka Grądkowskich we wspomnieniach ich córki Jasi Klimczak



Helena Grądkowska z domu Subczyńska z córką Jasią - autorką wspomnień (z lewej) i synową Krysią, żoną syna Marka (z prawej)

Mój tatuś, Franciszek Grądkowski ur. w 1903 r. w Czartkach był synem Andrzeja i Agnieszki z domu Perdek.

Sąsiadami ich byli Józefa i Szczepan Subczyńscy. Tam w roku 1914 urodziła się im córka Helena. Nie pamiętała jak zmarł jej ojciec. Mama Heli wyszła ponownie za mąż za sąsiada Bednarskiego. Mieli ze sobą jedno dziecko – syna. Wtedy Bednarski zażądał, aby mama Heli zapisała na niego majątek (14ha). Okazało się, że nie było to możliwe, bo tata Heli, przeczuwając śmierć, zapisał go na przeżycie żony i córki Heli. Aby stać się właścicielem, musiałyby obie uśmiercić. Więc nie przebierał w swojej agresywności.

Hela mając około 8 lat została całkowitą sierotą. Ojczym zostawił ją i ze swoim synem wyjechał prawdopodobnie za granicę.

Helą zaopiekowała się rodzina Sobczaków przezywanych „Chwoliszy z Kamionacza.”, bogatych i mieszkających w sąsiedztwie kościoła w Kamionaczu. Mieli troje swoich dzieci – dwóch synów i jedną córkę. Z Helą zabrali wszystko, co było w domu i gospodarce, a ziemię oddali w dzierżawę.

U ciotki „Chwolistki” Hela stała się służącą, gorzej – wyrobnicą bez zapłaty i żadnego prawa. Najlepiej gdyby szybko zmarła, bo byliby spadkobiercami majątku.

Do szkoły nie chodziła, bo nie stać ich było na ubiór i wyposażenie do szkoły. Na naukę przedkomunijną też nie chodziła. Dopiero ingerencja księdza proboszcza zmusiła opiekunów, że przystąpiła do Pierwszej Komunii świętej mimo słabego przygotowania. Jako bogaci uzgodnili z księdzem i samą zaprowadzili, nie w białej sukience, tylko w tym, co miała.

Cokolwiek się stało złego, a zbroiły ich dzieci, zawsze była winna Hela i to ona odbierała kary (nawet za stłuczone jajko).

Do obowiązków Heli było rano wcześniej wstać, gdy wszyscy jeszcze spali, rozpalić ogień i duże gary kartofli wstawić na piec. Ugotowane były karmą dla drobiu i trzody. Przygotować musiała też do śniadania. Przy obrzędku też musiała pomagać. Latem do późnej jesieni pasła bydło. Wyganiała je na pastwisko i musiała pilnować. Wtedy nie wiązano bydła na łańcuchach. Pastwisko było przy wodzie. Często krowa przeszła przez wodę, a tam było już sąsiadowe. Tragicznie było jesienią, gdy było zimno. Trzeba było szybko się rozebrać i przejść przez tę wodę, aby krowę zawrócić. Była nieraz bardzo zmarznięta.

Jako moja mama wspominała i opowiadała mi jak bardzo była chora na tyfus. Była w szpitalu. Miała wysoką gorączkę. Przedstawiła jej się zmarła mama. Gdy biegła za nią korytarzem, złapała ją siostra zakonna, bo takie wtedy posługiwały w szpitalach. Przeprowadziła ją na salę i o wszystko wypytała. Kiedy dowiedziała się, że jest całkowitą sierotą, utuliła ją, aby nie

plakała. Zdjęła z szyi łańcuszek z Matką Bożą i powiedziała zakładając go na szyję Heli: „Pamiętaj, odtąd Matka Boża będzie twoją mamą. Nigdy tego szkaplerza ze szyi nie zdejmuj, choćby Ci ktoś kazał”.

Po kilku latach tej ciężkiej wysługi rodzinie i dokuczania jej przez dzieci opiekunów była u kresu wytrzymałości. Postanowiła odebrać sobie życie. Poszła nad wodę i chciała wskoczyć, aby się utopić. Jakaś myśl nachodziła jej do głowy, aby zdjęła szkaplerz z szyi. Odczuła, jakby ktoś jej to nakazywał. Wtedy wspomniała siostrę zakonną, która jej mówiła, że ma nie zdejmować go nigdy, bo to jest jej mama. Tak też się stało. Nie mogła tego zrobić. Wróciła do domu i więcej nie próbowała tego zrobić.

Mama powiedziała, że ona swojej rodziny nie miała.

Mając 14 lat za namową wujków Adama i Stanisława Subczyńskich uciekła z Kamionacza od Sobczaków do Adama Subczyńskiego zamieszkałego w Męce Jamy.

Jak opowiadała mi mama:

„Wujek Adam był dla mnie dobry, ale jego żona zawsze mnie poniżała, a wywyższała swoje córki. A miała ich trzy: Jadwigę, Gienkę i Irenę. Tej najmłodszej jeszcze wtedy nie było”.

Te dwie były starsze od mamusi. Jak tatuś poszedł w konkury, to ciotka chciała swoje córki wydać za mąż.

Prawdopodobnie tatusiowi Hela, czyli moja mama, odpowiadała, bo miała majątek, który sąsiadował z polami Grądkowskich na Czartkach. Hela wyszła za mąż za Franciszka Grądkowskiego po ukończeniu 15 lat. Zamieszkali u rodziców Franciszka, bo dom mamy i obojście było spustoszone. Jak wspominała mama, z bratem Franciszka, Andrzejem, pojechali do Kamionacza do Sobczaków, aby coś jej oddano, chociaż pierzynę. Ciotka Sobczakowa zaśmiała się i powiedziała: „Mam cię psami poszczuć? Uciekłaś, nic nie robiłaś i nic nie dostaniesz”. Takie podziękowanie miała moja mama za ciężką pracę i poniżenie, traktowanie gorzej niż zwierzę. Bo zwierzę u gospodarza miało większą opiekę i szacunek, bo było potrzebne, a mama byłoby dobrze, gdyby zmarła, bo odziedziczyliby majątek. Oto zabiegali jej opiekunowie.

Jako córka mogę powiedzieć: Mama była dobrym człowiekiem. Jeśli jej ktoś krzywdę zrobił, nie wypominała. Tatusia kochała ponad wszystko. Mam do dziś wątpliwości, czy z wzajemnością Tatusia.



Na zdjęciu babcia Agnieszka Grądkowska w otoczeniu: od lewej syna Franciszka, synowej Heleny z synem Tadkiem, córki Apolonii (Poli), wnuczki Basi i syna Antoniego.

Pracowała za dwoje w domu i przy obrządku bydła i trzody. Nigdy nie narzekała. Nie wiem, kiedy nauczyła się pisać, czytać i liczyć, bo dobrze sobie radziła. Nie było to przeszkodą, gdy

podczas okupacji niemieckiej w latach 1939-1945 przyszło jej wysyłać paczki do Berlina, gdzie wywiezionych było na roboty przymusowe dwóch braci i dwie siostry Tatusia.

Do niej należało pisanie do nich listów. Z Czarnek do Izabelowa pieszo nosiła te ciężkie paczki do wysłania. Tam był posterunek niemiecki i była ścisła kontrola, co w tych paczkach jest.

Choć były to paczki żywnościowe za wyroby własnego pochodzenia takie jak mięso, masło, jajka szło się na kilka lat do więzienia. Wszystko było na kartki, czyli w przydzielonych ilościach. Dla nas było tego mało. Trzeba było w ukryciu kombinować. Ale mama miała swoje sposoby. Przekupiła jednego hitlerowca. Zawsze była dla Niemca łapówka. Wiedziała, kiedy i w jakich godzinach będzie kontrolował. Wszystko było z własnego przetworu. Ten Niemiec po prostu nie kontrolował tego, co było w paczce. Mama była bardzo odważna. Dla ratowania rodziny poświęcała siebie i w pewnym sensie nas, dzieci.

Pamiętam jak raz wróciła i mówiła do mnie zmartwiona: „Dzisiaj już bym nie wróciła. By mnie zamknęli.” Zapytałam, dlaczego, na co odpowiedziała:

„Czekałam, aby wejść do kontroli. Dochodziła umówiona godzina. Naraz w uchylonych drzwiach zobaczyłam innego Niemca, nie tego, z którym byłam umówiona. Szybko niezauważona wycofałam się i uciekłam do ubikacji. Tam przeczekałam, aż przyszedł ten znajomy i paczkę wysłałam.”

Nadał paczki wysyłała, ryzykując swoją wolność. Tatuś, choć umiał pisać, bo miał podstawowe wykształcenie, nie nadawał się do tego, nawet listu nie napisał.

Tatuś też ryzykował życiem, ale w inny sposób. Ukrywając ludzi z rodziny, którym groził obóz pracy, Dachau lub Brzezinka.

Pamiętam taką sytuację. Była zima. Wieczór. W tym czasie był u nas w mieszkaniu Czesław Dłubała, kuzyn Tatusia, a siostrzeniec babci Agnieszki Grądkowskiej, który – wtedy jeszcze nie wiedziałam - działał w konspiracji w Armii Krajowej. Tatuś ukrywał go w stodole.



Por. Czesław Dłubała - Rozłuski
ps. „Hanka”, „Boruta”,
III Komendant Obwodu Sieradz.

Trzecim Komendantem Obwodu Sieradzkiego od dnia 1 grudnia 1942 r. został ppor. rez. Czesław Rozłuski „Boruta”. Jako Komendant Obwodu przyjął pseudonim „Hanka”.

Czesław Rozłuski vel Dłubała (nazwisko zmienił na początku lat trzydziestych) urodził się 15 kwietnia 1909 r. w miejscowości Łąd, w powiecie konińskim. Jego ojciec był leśnikiem pod Sieradzem. Miał trzech braci i siostrę. Wszyscy byli zaangażowani w ZWZ-AK. Czesław i Józef Rozłuscy byli bliźniakami, obaj nauczycielami. Już przed wojną uzyskali stopnie podporuczników rezerwy. Najstarszy, Jan oraz najmłodszy, Piotr - Dłubałowie przed wojną dzierżawili sklep z artykułami żelaznymi w Szadku. Jan, kpr. 4 pułku artylerii ciężkiej - Łódź - ps. „Kurek”, tworzył zręby konspiracji jako komendant miasta Szadku, zaś Piotr ps. „Nóż” w ZO i wywiadzie ZWZ w Zdunskiej Woli.

Ppor. Czesław Rozłuski już w grudniu 1939 r. złożył przysięgę w Organizacji Samoobrony Polski (ps. „Boruta”).

Ktoś zapukał w okno i ostrzegł, że Niemcy są we wsi, czyli gestapo. Wtedy Tatuś podniósł dwie deski wycięte w podłodze i wujek wskoczył do piwnicy. Tatuś zamknął, rzucił koc i powiedział do mnie: „Baw się tutaj, nie patrz na nikogo i nic nie mów”.

Otworzyły się drzwi i weszło kilku Niemców w długich butach, płaszczach i wysokich czapkach. Nie patrzyłam się w ich stronę, tylko się bawiłam. Pochodzili po mieszkaniu zaglądając po kątach. Rozmawiali po niemiecku. Jeden z nich po polsku zapytał, czy nie ma tu kogo obcego. Tatuś porozmawiał z nimi i poszli. Tatuś powiedział, że ktoś musiał coś donieść, ale na szczęście w porę nas ostrzeżono.

Potem ten wujek Dłubała (Rozłuski) miał kryjówkę w naszym lesie na morgach. Mama chodziła tam nosząc wujkowi, co mu brakowało, a przede wszystkim jedzenie. Tatuś chodził na pewno w nocy, a mama w dzień, aby nie rzucało się to w oczy ludziom, szczególnie zimą.

Rodzice ukrywali również wujka Stanisława Grądkowskiego z Męki, który przed wojną był leśniczym. Jemu też groził obóz koncentracyjny. Długo u nas się nie ukrywał, natomiast Czesław Dłubała był dość długo, może któryś rok. Dwie zimy pamiętam doskonale.



W lesie do tej pory zachował się ślad po schronie, w którym ukrywany był Czesław Dłubała. Stary las został wycięty w latach 70-tych XX wieku i posadzono na nim nowy młodnik.

Tatuś zmarł na raka płuc. Mamie już podczas okupacji otworzyła się rana na żyłkach jednej nogi. Z biegiem lat miała rany niezagojone na obu nogach i po obu stronach nad kostką.

Relacja Heleny Grądkowskiej, mamy Jasi, z działalności konspiracyjnej w czasie II wojny światowej.

/złożona w czerwcu i wrześniu 1979 r. p. Jadwidze Kozłowskiej, byłej komendantce WSK-ZWZ-AK ps. Jagna zam. w Warszawie ul. Krucza 23|31 m.54/



Nazywam się Helena Grądkowska z d. Subczyńska urodzona 23.XII.1913 r. w Czartkach, córka Szczepana i Bronisławy, zamieszkała w Czartkach, gmina Wojsławice, powiat a obecnie województwo Sieradz, gdzie rodzice mieli 13 morgowe gospodarstwo.

Kiedy miałam pół roku, zmarł mój ojciec, a kiedy 8 lat – zmarła moja matka. Wychowywała mnie moja stryjeczna siostra Celina Sobczak zamieszkała w Kamionaczu, gmina Rososzycza. Tam w 1925 rok ukończyłam 3 klasową szkołę powszechną i pomagałam siostrze w gospodarstwie.

W 1927 roku uciekłam od niej, a w 1929 r., wyszłam za mąż za Franciszka Grądkowskiego, syna Agnieszki i Andrzeja z Czartek, gdzie wraz mężem gospodarowaliśmy aż do wojny na gospodarce po moich ojcu.

Do dziś mieszkam tu z dziećmi. Jedynie w czasie okupacji mieszkaliśmy u Agnieszki Grądkowskiej, w sąsiednim gospodarstwie, gdyż w naszym zasiedlono Polaka ze wsi Kłocko, gmina Bogumiłów. Na jego gruntach Niemcy utworzyli poligon wojskowy.

Mogło to być latem lub jesienią 1941 roku. Przypuszczalnie ok. roku później przybył do nas siostrzeniec Agnieszki Grądkowskiej – Czesław Rozłuski, brat cioteczny mojego męża. Początkowo przychodził tylko od czasu do czasu, zanocował w kryjówkach przygotowanych przez mojego męża, w piwnicy pod podłogą lub w stodole pod sąsiedkiem i szedł z powrotem. Przychodził z nim także niekiedy brat Czesława – Jan Dłubała. Ten krótko. W tych kryjówkach przebywali też inni np. bratanek męża Agnieszki Stanisław Grądkowski – syn Karola. Początkowo też przebywał w nich ludowiec Franciszek Olejniczak z Charłupi Małej. Był dzień, dwa i odchodził.

Nasza praca i kontakty konspiracyjne w szerokim zakresie zaczęły się od chwili przybycia do nas na stałe Czesława Rozłuskiego tj., od wiosny 1943 r. Znalazł on stałe schronienie w schronie na posesji Agnieszki Grądkowskiej, ok. 1 km od zagrody w lesie. Schron budowali mój mąż Franciszek, Stefan Rosiak i Kazimierz Ślipek z Czartek. Schron był nazwany „Maćkiem”. Miałyśmy z Agnieszka Grądkowską, moim mężem, Stefanem Rosiakiem i Kazimierzem Ślipkiem pełne ręce roboty. Mężczyźni zajmowali się budowę schronów, ich strażeniem oraz ciągłymi wędrówkami w terenie jako łącznicy, zaś my obie prałyśmy, reperowałyśmy ubrania i bieliznę ukrywających się w schronach, starałyśmy się o żywność dla nich i gotowałyśmy posiłek, przy czym dla Rozłuskiego ja nosiłam posiłek do schronu sama.

Agnieszka Grądkowska szczególną troską otaczała Rozłuskiego, bo uważała, że on ma wyższe wykształcenie, to mu się więcej należy i lepsze. Jakie miał stanowisko, nie wiedzieliśmy. Dla Rozłuskiego było wszystko najlepsze, dla nas nie było nawet masła, chociaż ciężko pracowaliśmy. Ja przysięgi nie składałam.

Jakoś na wiosnę 1944 r. Rozłuski niespodziewanie nas opuścił i nigdy się już nie pokazał. Dowiedzieliśmy się później, już po wojnie, że jest na wysokim stanowisku w wojsku. Mój mąż ciężko zachorował na raka. Męczył się w ciągu dwóch lat i zmarł 22.06.1967 r. Rozłuski wiedział o tym, bo córka wysłała mu telegram z wiadomością o pogrzebie, ale nie przyjechał. Potem był na Wszystkich Świętych na cmentarzu w Męce na grobie swoich rodziców. Kiedy tam się spotkaliśmy, tłumaczył się, że mu wtedy uciekł pociąg.

Po ucieczce Rozłuskiego nikt na jego miejsce już nie przyszedł. Po tylu latach, bardzo ciężkich przeżyciach po wojnie i borykania się z biedą, nie wiele już pamiętam. Rozłuski korzystając z naszej pomocy i opieki stale nas zapewniał, że po wojnie będzie nam dobrze i że będziemy mieć uznanie za nasze poświęcenie i pracę dla Polski.

Czy Agnieszka Grądkowska była zaprzysiężona – nie wiem. Ona nie interesowała się konspiracją, Nawet mnie ostrzegała, że mam dzieci do wychowania.

Wspomnienie Jasi o ojcu Franciszku Grądkowskim i jego przyjaźni z sąsiadem Stefanem Rosiakiem



Franciszek Grądkowski – ojciec Jasi

Stefan Rosiak to był bliski sąsiad mojego tatusia, Franciszka Grądkowskiego. W czasie okupacji niemieckiej, kiedy moja rodzina przeprowadziła się do gospodarstwa mamy tatusia, Agnieszki Grądkowskiej, byliśmy bezpośrednio sąsiadami. Musieliśmy się tam wprowadzić, bo bracia i siostry wywiezieni zostali na przymusowe roboty do Niemiec.

Tatuś i Rosiak, odkąd zapamiętałam, to byli prawdziwi przyjaciele aż do śmierci tatusia.

Podczas okupacji mieli swoje tajemnice. Pamiętam z początku wojny w 1939 roku, przychodził do naszego domu jakiś obcy mężczyzna. W średnim wieku, dziwnie ubrany, w długich szatach i włosach spadających na ramiona. I co najbardziej mnie interesowało, to jego gruba księga, którą przynosił pod pachą. Bardzo byłam ciekawa, co w niej jest napisane.

Przychodził Rosiak i w trójkę zamykali drzwi, by nikt nie mógł im przeszkadzać.

Po kilkunastu latach, a może kilku, tatuś z Rosiakiem nie raz wspominali jakby urywki z tej księgi. Domyślałam się tego, bo często mówili „tam pisało” i cytowali:

„ta okupacja będzie krótka, teraz jest „Antykrys”, który będzie palił ludzi w piecach”, „Po tej okupacji będzie następny czerwony komunizm”, albo: „Módl się i pracuj człowieku i czekaj pół wieku”, czyli, że ta druga okupacja będzie długa. Potem nastąpią rządy generalskie i będzie tak źle, jak jeszcze nie było na świecie. Mówili jeszcze, że będzie trzecia wojna światowa i mało ludzi zostanie. Wtedy będzie panował antychryst.

Ja udawałam, że nie jestem tym zainteresowana, a całą sobą słuchałam. Stefan Rosiak wiedział, że tatuś ukrywa Dłubałę. Między nimi nie było tajemnic.

Rosiak opowiadał, jak raz wiózł Czesława Dłubałę do Zduńskiej Woli na jakieś ważne spotkanie. Zaprzągnął konie do wozu, w deski wrzucił snopek słomy, koc na spód, a na wierzch pierzynę. Była zima.. Dłubała przebrał się za kobietę rodzącą. Głowę owinał chustką i pod pierzynę. Rosiak podcinał konie, aby szybciej przejechać posterunki niemieckie, które były ustawione przy wjeździe do miasta. Wszędzie mówił, że mu się spieszy, bo żona rodzi i przejeżdżał. Ale jeden zatrzymał ich do kontroli. Podniósł pierzynę, a Dłubała jęczy. Rosiak tłumaczy, że już żona rodzi i lekarza trzeba. Niemiec zaszwargotował jakieś przekleństwo i machnął ręką, aby jechać. Rosiak mówił, co wtedy przeżył. Jakby kulę w łeb dostał. Miał wtedy najczarniejsze myśli. Gdy Dłubała był u nas w mieszkaniu, Rosiak był na czatach, czy Niemcy nie węszą we wsi.

Nim skończyła się wojna w styczniu 1945 roku, przeżyliśmy trwogę, choć byliśmy w domu.

Otóż drogą przez Czartki uciekały wojska niemieckie. Jechały samochody pełne wojska, czołgi. Żołnierze szli na pieszo, rowerami, motorami, czym kto mógł.

Mieszkaliśmy u babci, gdzie stodoła stała blisko drogi. Była drewniana i kryta słomą. Tak jak i dom mieszkalny. Patrzyliśmy przez okna. Jeden z jadących czołgów zawadził o węgiel stodoły,

zjechał z drogi, owadzając o płot z drewnianych sztachet, i stanął. Nim stanął, z gąsienic posypały się iskry ognia. Miał uszkodzony bok, a koła się tarły.

Widzieliśmy jak żołnierze powyskakiwali z czołgu i w popłochu uciekali. Był już zmierzch. Nie zdążyliśmy odejść od okien, a tu straszny wybuch. Słup ognia wystrzelił w górę. Wszystkie amunicja, w tym pociski i granaty wybuchały, odłamki duże i małe tryskały w różne strony rozgrzane do czerwoności. Padały na dachy stodoły i domu, a nawet na Miedzińską górę, na las. Tatusz nie wiedział, co robić. Powiedział, że musimy uciekać, bo grozi nam pożar. A było u nas dużo ludzi takich uciekinierów przed frontem. Nic nie biorąc uciekaliśmy. Tatusz został, aby wynieść coś z domu. Wybuchy następowały jeden po drugim.

Tatusz powiedział, że był w domu dokąd nie spadł ze ściany obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Wtedy tatusia strach obleciał. Złapał obraz i też uciekł z domu.



Wnętrze domu babci Agnieszki na Czartkach. Zdjęcie pochodzi z przyjęcia weselnego Teodory Grądkowskiej i Józefa Stachurskiego w listopadzie 1949 r. Od lewej Stefan Rosiak (praktycznie nie widoczny) i jego żona Władysława, Jan Dawid – mąż Heleny z d. Grądkowskiej, młoda para - Teodora i Józef, Helena Matusiak (Janeczek). Na ścianie widać wiszący wspomniany przez Jasię obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

W tym czasie sąsiad Rosiak czuwał. On mieszkał w oddaleniu od drogi i jemu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Nie był zagrożony jego dom. Przybiegł w pobliże czołgu i obserwował, czy nie zapali się stodoła. Zobaczył, że pali się płot od strony czołgu do stodoły. Podkradł się blisko, oderwał płot od stodoły, odrzucił w bok i uciekł, bo było tam bardzo gorąco. Słup ognia po godzinie lub więcej powoli zaczął się zmniejszać. Rosiak cały czas patrzył i obserwował, który dach zacznie pierwszy się palić. Organizował do gaszenia ognia tych, którzy przybiegali, gdyby się paliło. Dzięki Bogu nie zapalił się żaden budynek, choć na dachy padały czerwone odłamki. Pilnowali całą noc. Po kilku godzinach słup ognia przygasł. Od czasu do czasu następował jakiś mały wybuch. Wojska, które za tym czołgiem jechały, w popłochu uciekały w pola. Wszystko wskazywało, że to front zaskoczył ich z przodu.

Ja na drugi dzień też chodziłam obok spalonego czołgu. Znalazłam w nadpalonej skórzanej portmonetce drewniany różaniec i dwa szkaplerze. Jeden miał inicjały. Wskazywało na to, że posiadacz musiał być wpisany do Rycerstwa Niepokalanej w Niepokalanowie. Bardzo się ucieszyłam, bo to był mój pierwszy różaniec. Krótka trwała moja radość, bo gdy wrócił z wywózki tatusia brat Janek, zabrał mi go. Powiedział, że zostawił różaniec w domu i to jest jego własność.



Teodora Stachurska z synem Piotrem i bratanicą Jasią, córką Andrzeja Grądkowskiego – ok.1956 r.

W głębi stodoła przy drodze, o którą z lewej jej strony zawadził czołg. Za nią przez otwartą bramę widać dom rodzinny dziadków Grądkowskich na Czartkach. Z prawej sad babci Agnieszki.

Wróćę wspomnieniami do sąsiada Rosiaka.

Jak tylko pamiętam, tatuś z Rosiakiem zawsze sobie pomagali przy pracach polowych w żniwa, wykopki. Wtedy były kosy, sierpy, dziabki, konne wozy na żelaznych obręczach. Rosiak miał mniej ziemi, to obrabiał się szybciej. To jeszcze nie wszystko. Brat tatusia, Andrzej, miał też duże gospodarstwo. Nigdy nie mógł w porę wykonać prac i zdążyć na czas. Gdyby nie miał pomocy od tatusia i Rosiaka, to żyto w październiku stałoby na polu, a ziemniaki kopałby w listopadzie. To oni niezapowiedziani wpadali na pole i nim wujek się dowiedział, żyto stało już w kopcach. Tak było i ze zwózką i z wykopkami. Pamiętam jak nieraz wujek Andrzej szedł za mną jak pobierałam i zbierał pojedyncze kłoski zbóż mówiąc: „paczta to jak to ubiro” Taki był Andrzej.

I jeszcze wspomnę Rosiaka i o pewnej sprawie z tatusiem. Po wojnie posiadanie jakiegokolwiek broni groziło kilkuletnim więzieniem. Po wojnie tatuś z Rosiakiem posiadali jakąś tam broń i nocami chodzili na dziki. Aby upolować je na mięso. Pamiętam smak dziczyzny. To była ich tajemnica. Ja coś niecoś wiedziałam, ale nie mówiłam.

Kiedy mój brat Tadek podrósł, przyjaźnił się z synem Mrozowskiego. Tamtego brat był w ORMO. Gdzieś mu wygadał. Doniosło się na milicję. Przyjechali, zrobili rewizję, ale nic nie znaleźli. Tatusia zabrali na przesłuchanie. Za innych pośrednictwem, w tym Tadeusza Perdka z Męki, sprawa została rozmyta. Tatuś mówił później, że byłoby gorzej, gdyby jeden z policjantów podał to, co widział przy rewizji. W szufladzie widział kulkę śrutową. Tatuś też to widział. Ten spojrział na tatusia i przykrył ją, a inni już tam nie zaglądali. Od niego zależało, że się stało, jak się stało. U Rosiaka nie przeprowadzali rewizji. Widocznie mój brat nie wiedział, że byli z tatusiem współnikami.

Wspomnień o Rosiaku nie byłoby końca. Też było to po wojnie, kiedy poszliśmy na swoje. Była zima. Nasz koń dostał wścieklizny. Weterynarz, który przyjechał, nie poznał się na chorobie konia. Koń był zamknięty w stodole. Gdy rano tatuś poszedł zobaczyć, otworzył wrota, koń jakby czekał na niego, Skoczył, złapał go za rękę, którą tatuś się osłonił, wyniósł przed wota i puścił na drąg od kierata. Wtedy uznali, że koń jest wściekły. Tatuś musiał 20 razy jeździć na zastrzyki do Sieradza. Nie miał czym. Autobusy nie jeździły, nie mieliśmy konia. Po wojnie nie każdy gospodarz go miał, bo wojsko uciekając zabierało gospodarzom konie ze stajni. Nim tatuś kupił konia, musiał korzystać z usług tych, co go mieli.

Pozostawało tylko jedno wyjście: na pieszo, bo rowerem nie miał prawie nikt. I wtedy to Rosiak zorganizował podwozy. Jak nie udało się namówić któregoś sąsiada, sam zakładał konia do sań lub wozu i wiozł tatusia do Sieradza na zastrzyk. Nie czekał na zapłatę.

Tak robi tylko przyjaciel.

Mój Mąż – Stanisław Klimczak



Często, gdy miał taką potrzebę, opowiadał mi swoje przeżycia z dzieciństwa i wczesnej młodości. A miał je bardzo ciężkie.

W Męckiej Woli była posiadłość szlachezca Siemiątkowskiego. Dom rodzinny mojego męża, a raczej chata, stała w pobliżu dworu Siemiątkowskich. Bliskość takich biednych ludzi dziedzicowi nie pasowała, tym bardziej, że między dworem a domami biedoty miał swoje stawy, a w stawach hodowle ryb. Nawet ci, co pilnowali stawów, upilnować ich nie mogli.

Dziedzic obmyślił plan i pewnej nocy wybuchł pożar, a że domy na wsi były drewniane, kryte słomą, spłonęły z całym dobytkiem. Dziedzic miał tzw. serwituty. W drodze wielkiej wspaniałomyślności, jako darczyńca, nadał tę ziemię pogorzelncom, aby się na swojej własności nie budowali. Natomiast ziemię, na której stały spalone domy, sam zabrał. Poszkodowani nie mieli prawa niczego się dopominać, nawet sądownie, bo tam sądzili tacy sami ludzie jak szlachcic. Mąż dobrze pamiętał ten dom i jak gęsi pasł. I sam pożar, który przeżył jako kilkuletnie dziecko.

Wspominał, jak jego ojciec, jako młody chłopak, był wykorzystywany przez rodziców. Dziadek mojego męża, jako wdowiec, ożenił się po raz drugi i z drugą żoną mieli córkę, więc on jako starszy z rodzeństwa wyjechał na roboty do Niemiec. Zarobione pieniądze przysyłał rodzicom. A rodzice za nie wyposażyli córkę. Wybudowali dom, w którym, gdy wyszła za mąż, zamieszkała z mężem i z rodziną, jaką miała. Do dziś jej nie znam, bo mąż mi tej rodziny nie przedstawił. Ale nieraz, jak jechaliśmy, wskazywał, gdzie mieszkają. Raz miałam okazję ją widzieć w poczekalni u lekarza. Sama mi się przedstawiła i przyznawała się, że jesteśmy rodziną. Ja nie przyjąłem jej wyjaśnień. Powiedziałam, że mąż ani jego rodzina nie przedstawili mi nigdy takiej rodziny. I na tym się skończyło.

Gdy ojciec męża wrócił z Niemiec, nie miał nic. Miał starą rozwalającą się chatę i sporo lat. Musiał jak najprędzej się ożenić. W chacie rodzinnej mojego męża była bieda, a dzieci przybywało. Z sześciorga rodzeństwa: Andzia, Jan, Stasiek, Władek, Józek i Tadek, mąż był jako trzeci (Stanisław). I wtedy ten pożar... I poszli wszyscy z torbami. Przydzielono im kawałek piaszczystej ziemi pod lasem, aby stawiali sobie dom. Mama mojego męża była bardzo pracowitą i zmyślną kobietą. To ona podjęła największą walkę z biedą i o przeżycie całej rodziny, a dzieci przybywało. Nic nie wniosła majątku. Mieli tylko to, co ojciec męża dostał po rodzicach.

Starsze rodzeństwo męża musiało chodzić do roboty do dworu. Taki dziedzic miał do roboty całe rodziny, które mieszkały w tzw. Koszarach. Nie posiadali ziemi, byli zobowiązani pracować u dziedzica. Zapłata była w naturze – przydział kartofli, zboża na osobę. Tych ludzi z Koszar nazywano „dworusy” (od słowa ‘dwór’). To byli wyrobownicy. Mąż wspominał, że gdy nie było pracy w polu (zimą), to dziedzica ludzie przywozili do domu zważony groch, aby rodzina przebierała go odrzucając chwasty, zanieczyszczenia i zepsute ziarno. Tak musieli je przebierać, aby to co odrzucali, nie zginęło, bo przy odbiorze było wszystko ważone, aby się wszystko z wagą zgadzało. Bo jeśli brakowało, to nie dostawali wynagrodzenia za pracę.

Po wojnie dziedzic do swojej posiadłości nie wrócił. Ani jego rodzina. Wszystko przejęło państwo. Po wojnie ludzie długo jeszcze go wspominali. Dzisiejsze pokolenie już tamtych czasów nie zna.

W takich biednych rodzinach, gdy tak ciężko było żyć, dzieci były posyłane przez rodziców na służbę. Bogaci gospodarze potrzebowali pomocy, to starsi się dogadywali i uzgadniali – np. na rok czasu posyłali dzieci na służbę do bogatszego gospodarza. Jeśli to był jeszcze nieduży dzieciak, to do pasania krów, a jeśli starszy (15 – 18 lat), to jako parobek do pomocy przy koniach i prac w polu. Tak też zrobili rodzice mojego męża. Wysłali starsze dzieci na służbę. Ale siostrze męża się służba nie podobała i uciekła. A umowa była zawarta. Więc nie było wyjścia – choć mój mąż był jeszcze mały, jego rodzice w zamian za siostrę jego wysłali. Gdy się sprawdził i gospodarz przystał na taką wymianę, to prócz tego, że miał wyżywienie, dostał za służbę pieniądze na kupno ubrania lub coś w naturze – mąkę, kaszę, groch, ziemniaki. Już od 7-go roku życia mój mąż był posyłany na służbę do ludzi. Często wspominał, jak u niektórych gospodarzy był traktowany, a to co najgorsze, najdłużej się pamięta. Z tego służenia po ludziach wyniósł całą szkołę życia. Gdy w 1939 r. wybuchła wojna, mój mąż miał 13 lat. Przez kolejne jeszcze dwa lata służył jako pastuch, ale robić nieraz musiał jak dorosły. A przez następne 4 lata do wyzwolenia spod okupacji niemieckiej był przydzielany do dużych gospodarstw jako pomoc do wszelkich prac polowych.

Po wyzwoleniu w 1945 r. (miał wtedy 22 lata) jako, że miał chęci do roboty szewskiej (robił chodaki już w czasie wojny), **umiał obić na drewniane spody cholewki z popsutych butów**. Zaczął szukać w Zduńskiej Woli szewców, do których mógłby chodzić w termin – tak nazywano uczenie zawodu. Udało mu się znaleźć. Rodzice mu odradzali, bo to daleko, inni się śmiali z niego. Mąż w swym uporze chodził latem, zimą na pieszo w takich chodakach drewnianych z Herbów Męcka Wola do Zduńskiej Woli. Nieraz jak była śnieżycza, majster z litości pozwalał mu zostać we warsztacie i tam nieraz nocował. Skóry porozkładał, paltem się odział, przykrył i tak nocował. Był szczęśliwy, że nie musiał tyle kilometrów iść.

A jak było jedzenie w domu, chleb, to pajdę sobie kroił i wyruszał w drogę. Jak mu zostało, to w południe miał na obiad, ale ile razy była głódówka, to nie liczył. Takie były początki tego terminu (3-letnia nauka szewstwa). Wiadomo, że za naukę rodzice nie płacili, to on za naukę płacił majstrowi wysługą. Był też wysyłany do innych prac, jakie majster miał w obejściu. Gdy już zaczął zarabiać, wiedział jak pieniędzmi rządzić. Stawił się też na komisję do wojska, ale takich niskich wtedy nie brali. Kazali czekać aż będzie zapotrzebowanie. Jakoś tego zapotrzebowania nie było i dopiero jak pobudowaliśmy dom był na 3-miesięcznym przeszkoleniu.

Gdy mąż miał 7 lat był u swojej cioci w Bałuczu za Zduńską Wolą na służbie. Tam zaczął chodzić do szkoły, ale nie miał mu kto kupić zeszytów i książek i dlatego przestał chodzić do szkoły. Gdy wrócił do domu do Męckiej Woli na Herby, chodził jeszcze do pewnych nauczycieli, wtedy kiedy mógł i o różnych porach dnia. Pewna pani (nie pamiętam nazwiska) była u jego rodziców i ich nakłoniła, aby przysyłali go do jej domu, a ona z mężem trochę go mieli uczyć bezpłatnie. Dostał zeszyt i na ich książkach się uczył. Według tego, co opowiadał, to skończył przed wojną 2 klasy szkoły podstawowej. Dopiero gdy w Rudzie na swoim zamieszkaliśmy, z moją pomocą ukończył siedem klas Szkoły Podstawowej Wieczorowej dla dorosłych we wsi Sucha. Świadectwo na papierze ukończenia 7 klas potrzebne mu było do skończenia kursu czeladnika i mistrza w zawodzie szewskim.

Z tego co pamiętam, mąż trzy razy w swoim życiu był bliski śmierci.

Pierwszy raz jak w czasie okupacji poszedł do lasu, aby przynieść jakiegoś drzewa na opał. W lesie była poręba. Były porżnięte grube kłocce. Jeden był blisko zbocza, takiego dołu z wodą. Coś go podkusiło, aby ten kłoc zepchnąć do wody. Gdy próbował to zrobić, pchnięty kłoc wziął go pod siebie. Ręka jedna była pod kłocem, a sam kłoc oparł się o jego głowę. Opowiadał, co wtedy przeżył. Tą drugą ręką podkopywał dołek pod drugim końcem kłoca, aby osunął się w drugą stronę. Kiedy już brakowało mu sił, tak się stało – kłoc przechylił się na drugą stronę, jednocześnie uwalniając jego przyciśniętą rękę. Drewno upadło do dołu, a on z zakrwawioną ręką (sęk drewna wbił mu się w paznokiec dużego palca u ręki), nie mówiąc o innych lżejszych obrażeniach, uciekał do domu. Do końca życia palec nie miał paznokcia.

Drugi raz był bliski śmierci po wojnie. Gdy już wyuczył się na szewstwa, zatrudnił się w Spółdzielni Szewskiej w Zduńskiej Woli. Do pracy z Herbów dojeżdżał rowerem. Jeszcze wtedy był kawalerem, ale już wtedy się znaliśmy. Jednego razu wracali z kolegą rowerami z pracy. Na otwartym polu blisko wsi Męcka Wola dopadła ich burza z intensywnym deszczem. Mężowi spadł łańcuch z roweru. Musiał stanąć, kolega pojechał. Miał postawiony kołnierz marynarki na szyi (był bez czapki, bo było lato). Gdy kucnął, siedzenie roweru oparł o piersi, a ramę na kolanach. Jeden pedał był w ziemi, a on wyszarpywał łańcuch z trybu i chciał założyć. Wtedy uderzył piorun. Mąż pamiętał, że słyszał suchy trzask i zaczęło nim rzucać po ziemi. Po chwili z ledwością wstał i szedł w stronę domu, jakby był pijany. Widział i zapamiętał jak niedaleko jakiś gospodarz orał i nie mógł sobie poradzić z końmi. Gdy doszedł do wsi, ludzie się zbiegli, bo im kolega już powiedział, co się stało. Kazali mu się kłaść na ziemi i obsypali go mokrą ziemią. Ale mąż wolał, aby dzwoniли po pogotowie. Gdy przyjechało, lekarz był zdziwiony, że on w ogóle żyje. Zabrali go do szpitala. Na ludzi lekarz nakrzyczał – kto słyszał, aby porażonego człowieka kłaść w mokrą ziemię! W szpitalu wszyscy byli bardzo zdziwieni, jak on to mógł przeżyć, badali go na wszystkie strony. Męża to zdenerwowało i po kilku dniach na własne żądanie wyszedł ze szpitala. Czuł się bardzo źle, szczególnie gdy jechaliśmy motorem. W cugu lub przeciągu robił się blady i musiał się zatrzymywać, bo bał się, że straci przytomność. Po jakimś roku czasu już mu to nie dokuczało. Objawy te powróciły w późniejszych latach, gdy nasze dzieci pozakładały już swoje rodziny. Do końca życia występowały, gdy jechał motorem. Nigdy nie potrafił ich przewidzieć, ale jak czuł, że robi mu się zimno, stawał, zatrzymywał motor, albo go pchał, żeby się rozgrzać.

Po marynarce męża, w której wtedy jechał, można było poznać, jak piorun uderzył i się uziemił. Uderzyła iskra w kołnierz na szyi, przeleciała po prawym ramieniu, do piersi, gdzie stykał się z siedzeniem roweru. Siedzenie na czubku było bez skóry, goła blacha, która dotykała marynarki na piersi. Iskra przeleciała po ramieniu i po pedale, który utknął w ziemi. Mąż przez moment był przewodnikiem iskry pioruna. To, że przeżył, to cud. Jak ta iskra przeszła, zostawiła niezatarty ślad: spalenie do białości w miejscu, gdzie zetknęła się z materiałem, wyrwanie materiału przy zetknięciu się z metalem siodła i utracenie tego końca metalu, a na ciele bardzo widoczne poparzenia.

I trzeci raz. W dniu 24.09.1984 r. mąż miał bardzo poważny wypadek na motorze. Miał ukończone 57 lat. W Rafałowce, między Miedźnem a Rossoszycą, jadąc po zmroku w kierunku Rossoszycy, najechał na nieoświetlony wóz konny. Woźnica pod wpływem alkoholu (miał kilka flaszek bimbrowy w wozie) jechał środkiem szosy. Z przeciwka jechało auto, które oślepiło kierowcę motocykla, czyli mojego męża. Mąż wspominał, że kiedy zobaczył ciemny wóz, jak każdy kierowca odruchowo chciał hamować. Wtedy usłyszał rozkazujący głos „nie hamuj”. I nie zahamował. I w tym było całe szczęście, bo kierowca, który jechał z przeciwka zatrzymał się i krzychał: „Myślałem, że mi na maskę samochodu spadnie.” I pewnie by tak było. Gdyby mąż ostro zahamował, wyrzuciłoby go pod nadjeżdżające auto i byłoby po wszystkim. A tak uderzył kołem motoru w tylne lewe koło wozu. Kłonica wozu złamała mu 3 żebra, natomiast deska boczna wozu przetrąciła mu prawe kolano. Orzeczenie szpitalne – złamanie trzonu uda prawego (zespolorono je płytką metalową i śrubami) oraz złamanie 3 żeber. Następny pobyt w szpitalu i kolejne orzeczenie szpitalne: dobrze się nie oblało, bez pełnej zabudowy kostnej. Kolejny pobyt w szpitalu (03.09.1985 r.) – złamanie ponowne w okolicy poprzedniego złamania i ponowne operacyjne zespolenie płytką metalową na śruby. Po dwóch czy trzech latach mąż sam zgłosił się do szpitala, aby usunięto mu blachę i śruby.

Trzy operacje i trzy narkozy w tak krótkim czasie na pewno miały wpływ na jego późniejszy stan zdrowia.

Gdyby mnie ktoś dziś zapytał, jaki był mój mąż Stanisław, krótko bym odpowiedziała: Był dobrym człowiekiem. Mało rozmowny, nie lubił towarzystwa. Źle się czuł, jeśli nie znał ludzi. Nie miał kolegów. Był pracowity, opiekuńczy. Gdy zaszła potrzeba, to nocą do apteki jechał po lekarstwa. Jeśli coś planował, to z tym się nie obnosił. Musiał przemyśleć i dopiero się ze mną dzielił z zapytaniem, co ja na to. Do dzieci nie miał cierpliwości, w lekcjach pomagać, pilnować – to była moja powinność. Kupno czegoś, np. dzieciom, to była wspólna sprawa. Mąż mój był czasem wybuchowy i nerwowy. Umiałam sobie z tym radzić,

ustępowałam i milczałam, a kiedy było po nerwach, spokojnie mu tłumaczyłam, że nie miał racji.



Stanisław Klimczak (z lewej) ze swoim szwagrem Markiem Grądkowskim - młodszym bratem Jasi (z prawej) i jego żoną Krysią. Koniec lat siedemdziesiątych.

Takie było nasze życie. Z jednakowego dobrobytu pochodziliśmy i umieliśmy ciężko pracować, aby coś w życiu mieć. W niedostatkach nie załamywaliśmy się, nie czekaliśmy, że ktoś coś nam da. Nie zadłużyliśmy się przy budowie, aby mieć noce spokojne i nie myśleć, że jutro trzeba spłacić ratę zaciągniętej pożyczki.